

Premiery dalsze i bliższe

OBOWIĄZEK dokumentowania wszystkich ważnych wydarzeń kulturalnych — a do nich bez wątpienia zaliczyć należy efekty pracy naszych teatrów — nakazuje odnotować premiery, które się odbyły w czasie parowania „Przemian”. Zważywszy duże wyprzedzenie w przygotowywaniu kolejnych numerów pisma, retrospekcja sięgnie ostatnich miesięcy ubiegłego roku. Zaczniemy od sceny radomskiej, gdzie przygotowano aż trzy premiery, z których „Król IV” Stanisława Grochowiaka zasługuje na największą uwagę.

Sztuka Grochowiaka trudna jest do jednoznacznego zdefiniowania jako gatunek teatralny, skoro sam autor widział ją jako bań, przypowieść sceniczną, może nawet tragifarsę. Bogaćstwo poetyk, w jakim obfituje „Król IV” zainspirowało reżysera — Zygmunta Wojdała do zbudowania parabeli dotyczącej niby to nie istniejącej rzeczywistości w nie istniejącym kraju, faktycznie zaś czytelnej w Polsce, ba — Radomiu u schyłku burzliwego roku 1981. Wybór Grochowiaka i jego rzadko grywanej sztuki nie jest więc przypadkiem, przeciwnie — kontynuuje wieloletni ciąg repertuarowy z takimi nazwiskami jak Mrozek, Redliński czy Nowaczyński. Można się oczywiście spierać o to, czy w ten sposób teatr znalazł się bliżej współczesności, w której działa, lecz permanentny brak „gorącego” tworzywa dramatycznego skazuje nie tylko zresztą teatr radomski, na półroczki. Sam zdesperowany kierownik tej sceny wyznał dziennikarce „Słowa Ludu”, że „Czas, zdawałoby się, zrobił się nader ponętny dla dramatu, a jak dotąd rodzi się tylko grafomańska publicystyka”.

Wyróżniające się kreacje aktorów w „Królu IV” stworzyli Włodzimierz Manciewicz jako postać tytułowa, Jerzy Wasiluczyński w roli Fortynbrasa, Warszosiaw Kmity jako Generał i Andrzej Iwiński kreujący Premiera. Recenzenci zwracali też uwagę na niebanalny występ El-

żbiety Grucy w roli Woźnej. Scenografię opracował Karol Jabłoński w sposób wierny autorskiemu kamuflażowi, co jeszcze bardziej podkreślało tragicomiczność postaci i poszczególnych scen. Ostra i gorzka zarazem satyra została w Radomiu naleźycie odebrana jako memento dla władzy i społeczeństwa jej podlegającego, przestroga przed skutkami inercji, prywaty, niezgody i biernego wyczekiwania na ingerencję sił symbolizowanych przez Fortynbrasa.

W tym samym czasie grano w Radomiu bajkę Andersena „Czerwone pantofelki” w reżyserii Wiesława Rudzkiego, w scenografii Karola Jabłońskiego i w choreograficznym opracowaniu Barbary Fijewskiej. Teatr Powstaniecki im. Jana Kochanowskiego systematycznie troszczy się o najmłodszego widza i zabiega o jego względy, co bez wątpienia przyniesie mu należyty profit. I tym razem sięgnięto do klasyki literatury dziecięcej, czemu się trudno dziwić, jako że cytowane wyżej uwagi Z. Wojdała na temat tenującego ubóstwa współczesnej literatury dramatycznej rościagnąć trzeba i na tę jej gałąź. „Pantofelki” grano z powodzeniem w świetlicach szkolnych i na macierzystej scenie teatru, ku zadowoleniu nie tylko najmłodszych widzów, ci sąd zachować musieli w pamięci Ewę Bettę jako Karen, Huberta Bielawskiego w roli Snogga i Mirosława Polatyńskiego jako Jemmę.

Na początku marca teatr radomski wystąpił przed swą publicznością z premierą jednej z najpopularniejszych komedii Aleksandra Fredry — „Pana Jowialskiego” w reżyserii Zygmunta Wojdała, ze scenografią Ka-

rola Jabłońskiego i muzyką Jacka Szczygła. Niestety, o tej realizacji niewiele da się powiedzieć dobrego, gdyż w sposób dosyć istotny odbiegła ona od ambitnych zamierzeń. Zapowiedziano „nowe”, więc oryginalne odczytanie sympatycznej opowieści o tym, co wydarzyło się w domu państwa Jowialskich, obejrzelśmy natomiast efektowną, by nie napisać dosadniej — efekciarską zabawę obliczoną na tani poklask publiczności, co się zresztą sprawdziło. Wydaje się, że i reżyser, i kierownik przez niego aktorzy zbyt gorliwie zaufali „samograjowi”, obudowując go w barokowy sztafaż. Doceńnić trzeba wszelako próby innowacji („zdemokratyzowany” Jowialski upostaciowiony przez Jerzego Wasiluczyńskiego, rozbudowanie wątku miłosnego, kilka epizodów i scen (dużej urody) i przeciwstawienia się powielanej tradycji teatralnej tej komedii. Historycy literatury toczyli o nią spory przez dziesiątki lat, reżyserzy i aktorzy szukali w niej coraz to nowych treści, a w historii teatru jest ona przede wszystkim świadectwem wielkich ról najznakomitszych polskich aktorów. Z takim bagażem trudno w Radomiu konkurować.

W Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach mamy do odnotowania dwie premiery — i obie na swój sposób interesujące, stanowiąc bowiem dla uważnego widza decydującą (?) próbą przełamania tej passy tej sceny od wielu, doprawdy zatrważająco wielu lat. Wybór reportażu Jacka Stwory „Co jest za tym murem” i jasełek Lucjana Rydla „Betlejem polskie” wiele tu mówi, oznacza bowiem kurs na zbliżenie teatru do widza nie stawiającego wymagań artystycznych. Czynnikiem

nie mniej istotnym jest zapewne wejście teatru jako przedsiębiorstwa w maszynę reformy gospodarczej. Sukces na tym polu można określić jako połowiczny, ponieważ „Co jest za tym murem” przedwcześnie zeszło z afisza (przedstawienie miało być wznowione w objazdach).

Reportaż Jacka Stwory był przed laty głośnym wydarzeniem literackim, eksploatowano go też intensywnie w teatrach i teatrykach. Adaptacja dramatyczna Zbigniewa Wróbla nie daje pełnego portretu bohatera reportażu — Celebraka, stanowi jednak fascynujący materiał dla aktora, toteż Krzysztof Pietrowski nie zmarnował szansy. Sam scenarzysta kuśił zapewne aktora w stronę monodramu, na szczęście jednak mamy bogaty warsztatowo spektakl, nie pozwalający widzowi odetchnąć ani na moment. Celebrak Pie-

adnego. Wewnętrznie skupiony, daje nam wzruszające dowody autorefleksji i przeżycie estetyczne dużej klasy. Mniejsze pole do popisu miała Teresa Kulikowska w roli żony Celebraka, jednak dyskretnie zarysowany przez nią wątek liryczny i głęboko ludzkiej tragedii współgra z humanistyczną koncepcją reżysera (Zbigniew Wróbel) i odtwórcy głównej postaci.

Nie da się w podobny sposób skomplementować „Betlejem polskiego” w reżyserii Andrzeja Dobrowolskiego. Tulaj ukłom w stronę widowni rzucił teatr na kolana, odbierając mu tym samym godność zawodowej placówki artystycznej o ambicjach twórczych. Przedstawienie, owszem, podobało się, miało komplot, ale zadziałało w tym względzie czarniki pozateatralne, a przynajmniej zdominowały one te wartości, które



„Betlejem polskie” — scena zbiorowa.

Fot. ZBIGNIEW ŁAGOCKI

arykowskiego jest owianianiem i człowiekiem głęboko nieszczęśliwym, ubezwłasnowolnionym przez własną naiwność i objętność obojętności. Bardzo subtelnie wycieniono w tym spektaklu osobliwości człowieczej natury, liryka, groza, najtajniejsze zakamarki świadomości (i podświadomości) znalazły w Pietrowskim twórcę prawie nie-

zwykły ułóżsamiać ze sztuką teatru. Ubóstwo inwencji inscenizatora, niemrawe tempo, kiczowatość poszczególnych scen — tych grzechów nie zrównoważyło aktorstwo Anny Skaros, Mirosława Henke, Edwarda Kusztala, Lecha Sulimierskiego i Zdzisława Nowickiego — by wyróżnić najbardziej ambitnych. Zawód sprawił reżyser, który

miał na tej scenie w przeszłości osiągnięcia wybitne, liczące się w skali teatru polskiego. Natomiast scenografia Anny Rachel imponuje smakiem, starannością i prawdziwie teatralnym rozmachem.

Nie sposób pominąć milczeniem jeszcze jedną premiery teatralną. Wystąpił z nią Teatr Łalki i Aktora „Kubus”, a była to bajka o wielce pouczającym tytule: „O straszliwym smoku, dzielnym szewczyku, przebieżnej królowie i królu Gwoździuku”. Teatrowi postaramy się powieścić w „Przemianach” więcej miejsca, teraz refleksję z premiery przygotowanej przez reżysera Bohdana Radkowskiego i scenografa Lidę Wopaleńską. Nie jest to inscenizacja nowatorska, raczej utrzymana w konwencji tradycyjnego teatru dla dzieci, oparta jednak na rzetelnej robocie zespołu, który rozpoczął sezon w odnowionym składzie pod dyrekcją Ireny Dragan. Premiera, w której uczestniczyliśmy, otworzyła nam oczy na ogrom spraw nekających ten załóżony i potrzebny teatr. Warunki pracy aktorów i służb technicznych, a także warunki stworzone widowni urągają nie tylko elementarnym wymogom funkcjonalnym, ale zwykłemu poczuciu estetyki. Jak się dowiadujemy, koncepcja przeniesienia „Kubusia” do pałacyku przy ul. Kosciuszki upadła z powodu zdecydowanego oporu budowlanych — gospodarzy obiektu. Teraz wchodzi w rachubę dwa rozwiązania: poszerzenie istniejącej bazy o lokal księgarni lub budowa nowego pawilonu (na Plantach lub w miejscu stacjonowania cyrku). Ku temu drugiemu rozwiązaniu optują władze kieleckie, które się nawet do tego zapłaciły. Oby ten szlachetny płomień nie wygasł.

ZASTĘPCA

PS. Recenzent „Słowa Ludu” przyszył przy okazji relacji z „Betlejem polskiego” listę kieleckim literatom. Łata szyta jest dratwa, a szpita fastrygująca wymierzona w niewłaściwy pośladek. Pisarze kieleccy chętnie teatrowi udostępnią swe teksty, jeśli ktoś się do nich w tej sprawie zwróci. Tak jak to uczynił dyrektor Teatru „STU”, gdzie rozważa się możliwość wystawienia sztuki Henryka Jachimowskiego i poezji Adama Olszawskiego.